

# Goran Čolakhodžić

**Za ogrodem**  
**Beyond the Garden**  
**Za vrtom**

Z chorwackiego przełożyła  
Dorota Jovanka Ćirlić

Translated from the Croatian  
by the author



VERSOPOLIS

**Za ogrodem**  
**Beyond the Garden**  
**Za vrtom**

# Goran Čolakhodžić

Za ogrodem  
Beyond the Garden  
Za vrtom

Z chorwackiego przełożyła  
Dorota Jovanka Ćirlić

Translated from the Croatian  
by the author

Instytut Kultury Miejskiej  
Gdańsk 2016

\*\*\*

dzisiejszej nocy po wielu wielu latach  
znów pognało mnie bym szukał pustyni i  
nie znalazłem jej  
bo las zyskał przewagę  
znowu zbałamucił związał  
skrył w cieniu ścieżki  
świszczała noc

zapach odkrycia  
potencjalnych grzybów i  
pusta bażanciarnia ciszy wszystko  
ciągnęło za ręce ku  
ofiarowaniu cienia i las  
oddechem wciskał się w kręgosłup i  
gałęziami szemrząca świadomość skrywała  
szeleszczący piasek

## Zapowiedzi

W wiadomościach codziennie zmienia się polityka,  
a syntaksa twarzy i lawiny zdań pozostają na ogół takie same.  
Długie i śliskie cielska ślimaków leżą w kałużach pod figowcami  
niczym kupy czerwonych seterów, węgierskich wyżłów.  
Koniec szkoły. Popołudnie; wraz ze słońcem, w dół ulicy  
toczy się łoskot dziecięcych wózków. Krzyki dzieci i ojców,  
powrót złocistych hord do Xanadu.  
Wszystko rośnie jak w mongolskim systemie wojennym,  
żdźbła i śliwy, wrzawa i jabłka. Rośnie też sterta odpadów lata  
między szopą a żywopłotem, puste i przezroczyste skorupy  
arbułów  
z kilkoma pręgami, skórki pomidorów.  
Rośnie też mnóstwo zielonych staruszek, które przekopują nam  
kompost  
szukając plastikowych butelek. Trafiam je dojrzałymi gronami,  
a babcia grożąc wytrzepuje gruby pasiasty koc.

## Naczynia

Naczynia, gliniane, rozpękle,  
jednak użyteczne, długo stojące  
na powietrzu i w deszczu, łuszczą się  
pięknie, niczym skóra. Są jak  
części naturalnego przyrządu  
brzmiącego echem, ale swoim dnem  
odmawiają odzewu. Służą  
do tego by przepływała przez nie woda  
i zostawała, i by jawnie  
pokazywać aktywność ziemi,  
są przecież z niej, dźwigają w górę  
gnicie, kiełkowanie, okazy roślin.  
W kącie ogrodu, pod żywopłotem,  
leżą puste naczynia (tu jest  
ich pokój), czekając na wiosnę  
nowych udomowień, na razie  
z cicha przyzywają mech,  
coś trwalszego.

## Ręce cmentarzyska

*Ty mnie nie kochaj.  
Moje ręce są w lecie cmentarzyskiem komarów.*

T. Augustinčić

Łatwo jest kogoś kochać kiedy nie wiesz  
jak spędza ostatnie pięć minut przed zaśnięciem,  
kiedy jesteś pewien że leży niczym anioł  
a niewinny sen od razu gasi wszystkie popędy.  
Trzeba jednak opijać się mieszanką  
śmiechu i zdziwienia, tęsknoty i wstrętu,  
seksu i zadanych ran. Moje ręce w październikowe wieczory  
są cmentarzyskiem komarów, te same żywe dłonie –  
którymi niczym szafran wiosną ogarniam twoją twarz  
i wszystkie miękkości i napięcia twojej skóry –  
jak usta obejmują ręce i nogi.  
I powiedz mi teraz jak mnie kochać  
skoro pieścę cię cmentarzami,  
skoro dwoma miejscami straceń prowadzę cię przez miłość  
i skrywam to przed tobą.  
Czuję że jesteś mistrzem spojenia,  
dlatego kocham cię mając krwawe dłonie.

## Polowanie

Polowałem na zające  
ciągle i niesłyszalnie:  
celownik zabijał, ale nie było strzału,  
futrzane worki padały bez odroczenia  
na suchą trawę zmierzchu. Leżały  
sztywne, z otwartymi oczami, bez kropli krwi  
na skurczonych ranach, właściwie śmieszne,  
niegroźne w tej śmierci która nie  
zabrała im życia, więc była przezroczysta.  
Mnie nie brakowało pocisków  
ani im śmierci: stale ją produkowały  
wśród wzgórz i parowów.  
Nadchodzi jesień, pewnie dlatego.

## Z Albo, *Życie w lesie*

\*

Przed dziesięcioma laty kupiłem Žumberak. Po Chorwacji, kiedy ulice wyraźnie opustoszały, nawet w czasie szczytu, po Słowenii, uważanej za wieczną. Słowenia to zawsze była obecność, promieniowała leśną wilgocią z zachodu, rozlewała się pogranicznymi polami i potokami. Ale teraz nie była ani trochę bardziej rzeczywista od Wielkiej Karyntii, z której często, razem z wiatrem szklistych frontów, zjawiał się pierwszy śnieg. Teraz promieniowała coraz słabiej, więc wysoko w Žumberku można było żyć długo, bez strachu. Kupiłem go za dwadzieścia euro i wziąłem drogi pod swoje skrzydła, pilnowałem, by szybko i zgodnie się rozsypały, odeszły, nie czyniąc szkody ubocznej. Ustronne miejsce znalazłem wysoko w górze pod Sichelbergiem, obok punktu, w który, tak jak w rozpołowiony błyskawicą dąb, nigdy nie uderzają meteoryty. Mam tu dziewięć grządek fasoli i pasiekę miodnych pszczół, a wieczorem słucham szelestu płomyków. Przygotowania wykonałem porządnie, skrzętnie, mam się teraz do czego odwoływać. W końcu opłaciły się książki o permakulturze, zamówione w necie, póki jeszcze był. Uzasadnione okazały się obawy przed orką i moczniakiem, kluczowe zaś – obudowane grządki i ufryzowany żywopłot. Żeby pokazać, kim jestem i czym jestem, swoją ziemię ogrodziłem pasem głogu i tarniną, przez całe pole, a od lasu oddziela mnie pleciony płot. To moja strażnica. Nocą ze zbocza, na którym się zagnieżdżyłem, wieje północny wiatr, przynosi skłamaną głośność, skraca odległości. W długie popołudnia staję tu wyprostowany naprzeciw ceniom, które przesuwają się na krawędzi pasa widoczności. Przywitałem Jeża, letnim wieczorem, kiedy świetliki, pierwszy raz widziane tu od pół wieku, zielonymi punkcikami oznakowały równinę. Sunął w moją stronę jak żywy kret, zgrywając biedaka. Nie dałem się oszukać, od

dawna wiem, że Jeż to burzuj, właściciel wielu domów, a tylko z tego ubogiego czyni boga. Jednak dałem mu ogród, dogadaliśmy się. Wspólnie teraz nasłuchujemy hałasu silników na drodze dojazdowej, nocą, przy księżycu, razem śledzimy przesuwanie się czarnego cienia wieży przez zamknięty ogród.

## Ostatnia kośba

Ostatnia kośba jeszcze jeden cichy rytuał.  
Nie ma musu, ale jest dobrze,  
a także pięknie, bo to powrót do sierpnia,  
do czasu kiedy kośba jest zaraźliwa jak ziewanie,  
kiedy włączasz silnik i ruszasz,  
i kiedy pierwszy raz staniesz,  
słyszysz chór silników w bliskiej  
odległości, z każdej strony świata.  
Wszyscy kruszymy żdźbła, udajemy stada krów,  
udajemy sąsiadów z przedmieść Chicago.

Ostatnia kośba piękniejsza jest i bardziej męska:  
sam w niej jesteś, często jak mgła i zmierzch.  
Robisz tym żdźbłom coś brzydkiego i bolesnego  
dla ich dobra, jak lekarz lub ojciec.  
Dbasz o maszyny, kąpiesz je przed snem,  
wylewasz benzynę, poświęcasz czas olejowi i blasze  
jak nigdy, bo jesteś filologiem, pisarzem i gejem. Na koniec  
zamykasz drzwi na klucz, mówiąc tylko „wszystko gotowe” –  
teraz może przyjść zima, długie noce wegetacji  
spędzone daleko od kraju,  
stąd westchnienie.

\*\*\*

Staliśmy i używaliśmy perfektu  
rozmawiając o twojej śmierci –  
a właściwie nie o niej, bo już się dokonała,  
używaliśmy jej płynnie jak czasowników.

Należało rozwiązać problem czy dwa  
w związku z sieją i wiosną, i słońcem;  
kilka uwag przed wyjściem do roboty,  
brak zachęty to wyraz twojego zaufania.

Dopiero koło południa, gdy mgła ustąpiła,  
a ty korzenie odcinałeś łopata,  
przypomniałem sobie, że w nocy łkałem, przebudzony,  
krótko, obróciwszy w ciemności smutek jak ziemię

podczas jesiennych wykopków; wszedł  
z powrotem, w humus, niczym dżdżownica.  
Teraz obaj wsuwamy dłonie w uległą ciemność,  
wszystko się stało zanim coś było; dobra jest ziemia.



## Wszystko powoli

W maju gałęzie figowca rozkwitają,  
pod korą. Pierwszy z kolejnych zielonych pąków  
zajmuje swoje miejsce.

Można liczyć

lata do przodu i aż do samych korzeni.

Drzewo figowca pełne jest przyszłych wrześnieowych miesięcy  
jak kolba starej strzelby pocisków: ciężkie naboje  
wystrzeliwują i rozrywają się ciemne, wbijając ptakom  
pióra i świergot i szczęście w pierś.

W niepodziurawionych jeszcze korpusach  
każda figa dźwiga wybranego owada.

W jednej zamknięty jest pająk,

w drugiej mała pręgowana osa która przez rok-dwa  
jeszcze się nie przebudzi, gdzieś grupka mrówek  
podobnych do ziaren maku. W słodkim śnie  
mruczą, wiercą się i rosną.

Wszystko to z wolna wznosi się ku górze,  
do słońca i nieuchronnych jesieni.

## Przesunięcie ku czerwieni (1)

żyłem dotąd pomiędzy  
kilkoma budynkami, na dwudziestu ulicach,  
na trzech albo czterech hektarach lasu i łąk.  
nie myślałem – tutaj rozciąga się bezkraj,  
a do mnie należy jego zauważalna część.  
długie prostokąty zamykały horyzont,  
reprodukując widoczną stąd próbkę przetrzeni,  
teraz, z wysokiego, ciemnego punktu widzenia,  
obserwuję z brzegów środek, dostrzegam  
wzory powtórzeń, figury stałości.  
źle narysowany trapez miasta stąd do rapskiej,  
od niej do meczetu, a stamtąd  
do jakiejś kropki na wschodzie (*szuka się kąta  
naprzeciwko znanego a*) i znów do pokoju w którym  
na krótko jestem, zamknięty i spokojny, patrzę  
przez szerokie okna. ów model niezliczoną ilość  
albo trochę mniej razy, powtórzy się, by stworzyć miasto.  
dopiero z wysokich miejsc, przy krótkim zoomie,  
stanie się jasna powielalność przestrzeni.  
w nieskończoność stwarzanych będzie kilka budynków,  
dwadzieścia ulic, trzy albo cztery hektary lasu i łąk.  
w nieskończoność te fabryki żarówek, które  
w tej jednej wyjątkowej magmie splątanych świateł będą  
każdego wieczora wyczarowywać zachód

\*\*\*

Mam niezłatwioną sprawę z miastem,  
to znaczy, że za dnia nie jesteśmy w stanie  
powiedzieć sobie wszystkiego. Nadrabiam to, chcąc  
nie chcąc, w nocy, gdy podejdzie do mnie żywopłot  
i wzgórze zaczną staczać się pod nogami.  
Znajdzie się tu dużo wejść ulic sklepień arkad  
znajdzie też dużo brązu, zielonego od wilgoci mroku  
w rzadko koszonych parkach.  
Wciąż mnie wysyła od fasady do fasady  
niedogodnie splecionymi liniami tramwajów  
i często w zupełnie nieznanym języku  
zapisuje nazwy budynków i placów.  
Toczy mnie po chodnikach, podrzuca pod bramy,  
skrywając jednak wewnętrzne podwórka –  
dowód że miasto może śnić głęboko, skoro ja  
zmierzam chwiejnie dokąd muszę pokonując chodniki i przejścia  
podziemne.

A rano skłania mnie do śmiechu  
i drwiny, wiem, butnie pomnaża się  
we mnie przez całą noc, zasłania oczy, szerzy propagandę,  
chcąc stać się większym czarniejszym bardziej przepastnym  
wznosić się w nieskończoność, w daremnym złudzeniu.

\*\*\*

Niekiedy zmienia się w Sofię,  
Bukareszt, Ruse, w Debreczyn,  
dawno temu kochało Paryż.  
Jednak zawsze zostawia wystarczająco dużo dziur  
które zdradzają że to maska.  
Za przegniłymi blaszanymi parkanami  
rozwlóczonymi na kilometry,  
oazy mroku i chwastów, pełne żwiru kałuże  
opasane oponami, brudne  
od osadów nocy; one i mury  
na skraju zatoki  
na końcu ulic  
szorstkie są, nie można wejść  
ani wyjść, nie łamią się  
nie łamią dźwięków upiornie  
obecnych we śnie. I tu  
odkrywam słabość: miasta nie zbudowano  
dalej. Reszty nie ma.  
Brakuje kody.  
Jego grę ogranicza świadomość  
że nocą szybko pędzi na przekór jesieni  
i myśl że spakowanych ma  
wystarczająco dużo ulic. Stukam w abażur  
i budzę się odnowiony.

\*\*\*

Niekiedy uświadamiam sobie policzalność spotkań i to mnie wędza w rozpacz. Zasmucają mnie fragmenty przestrzeni, a także miasta, które, jeśli będę miał poważne powody, by się zmienić, będą musiały na zawsze zostać takie same, takie same w trzech czy czterech momentach spotkań: o szóstej, o dziesiątej, o trzeciej, o ósmej. A potem koniec, nie będziemy mieć więcej okazji się dotknąć, ale pewnie one będą miały tę możliwość gdzieś indziej w jakimś punkcie czasu (który wynika z przestrzeni), by pozostać takimi samymi. (One nie są, one istnieją). Głęboko żółte popołudniowe niebo, tu gdzie nie ma nic poza skorupą miasta – popołudnie i okna, odbijające się w nich mętne chmury. Nie wiem, co poczną beze mnie; ważne, że nie wiem, nie ja. Czy będzie miała na nie wpływ zmiana pór roku (która jest powodem burzliwej dyskusji), czy ów paryżanin, którego na początku stulecia zostałem wczesnym jesiennym popołudniem w cichej ślepej uliczce na skraju miasta, by kopał kanały odprowadzające, kopał i wykopał, czy będzie potrzebny obiad, czy będą chcieli w ogóle i z kim rozmawiać? A najbardziej – czy znajdę go o szóstej, o dziesiątej, o trzeciej, o ósmej, i będzie miał mi coś do powiedzenia, złamie się, wystrzeli jak świt? Zawsze szukam czegoś więcej niż *scripted NPC*, oni doskonale wymknęli się czasowi, ale nie smutkowi, głębokiemu smutkowi. Nie wiedzą, co to akcja i reakcja: ten niedostatek otwiera im na ościerz spiżarnię tęsknoty. Są dowodem mojego dzieciństwa, jego twarzy i minionych lipców. Ich męka z powodu nieświadomości cierpienia jest dużo większa niż ludzka, powiada Nietzsche, a ja wtedy wypijam kieliszek, wybieram jedyną niebezpieczną opcję na koniec rozmowy, odchodząc tak, godzinami, tygodniami, później przychodząc. Ich męka z powodu nieświadomości cierpienia jest dużo gorsza niż ludzka, tak jak w dzieciństwie, o szóstej i o dziesiątej, strzelę językiem, wypiję do dna i, powiedzmy, wyjdę.

\*\*\*

Niekiedy wyobrażam sobie sześciany, długie, białe, widoczne, ze wszystkich stron można je obejść, godne niewyraźnych szkiców do stworzenia miasta. Nigdy jednak nie wchodzę; chętniej błądzę po kamiennych ścieżkach słonecznie chłodnych, które zazwyczaj otwierają się z prawa wobec dalekich równin pełnych wiatru.

Długo obchodzę wielkie fundamenty tych budowli które są częścią reliefu, wzgórze, zbocza, uskoki dróg w chaszczech spiętych kamiennym mostem. Błogi to kraj gdzie słońce nawarstwia się w powietrzu wolnym od jakiegokolwiek dźwięku, a dotyk mistrzowskiej ręki człowieka daje spokój.

Archaiczny cokół przy górskiej drodze za miastem dawno poddał się winorośli: grube grona leżą w napęczniałym świetle w cieniu surowego granitu, zakrzywiają promienie ostrego słońca we włóknach które wypełniają je sokiem. Tak że doskonale gaszą pragnienie w drodze do rana.

## GORAN ČOLAKHODŽIĆ

Urodził się w 1990 r. w Zagrzebiu. Od 1996 r. mieszka w Samoborze, małym mieście na zachód od Zagrzebia. Student na Wydziale Humanistyczno-Socjologicznym Uniwersytetu w Zagrzebiu. Piśze wiersze i prozę, jego manuskrypt *Na kraju taj vrt* (W końcu, ogród) otrzymał Nagrodę Gorana dla Młodego Poety (2015). Od tamtej pory publikował swoje wiersze w kilku chorwackich czasopismach kulturalno-literackich, m.in. w *Zarez*, *Poezija* i *Vijenac*, a także na portalu internetowym *Strane*. Kilka jego wierszy ukazało się w rumuńskim magazynie literackim *Poesis internațional*. We wrześniu 2015 r. Čolakhodžić otrzymał nagrodę w konkursie na najlepszy sonet na Festiwalu Petrarki.

## DOROTA JOVANKA ČIRLIĆ (WŁAŚC. MENTZEL)

Tłumacz literatury pięknej, redaktor i publicystka. Debiutowała jako tłumacz literatury byłej Jugosławii w 1978 r. Od 1977 r. nieprzerwanie pracuje w miesięczniku teatralnym „Dialog”, gdzie zajmuje się polską dramaturgią oraz teatrem bałkańskim. Współpracowała bądź współpracuje z czołowymi czasopismami polskimi. W „Gazecie Wyborczej” przez trzy lata była redaktorem w dziale kultury. W 1998 r. otrzymała nagrodę Stowarzyszenia Autorów „ZAiKS” za najlepszy przekład w dziedzinie dramaturgii, w 2013 nagrodę za całokształt pracy translatorskiej. Jest członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Przetłumaczyła ponad trzydzieści książek prozatorskich i tyleż sztuk teatralnych. Od czasu do czasu podejmuje się tłumaczenia poezji.

# Goran Čolakhodžić

Beyond the Garden

Translated from the Croatian  
by the author

\*\*\*

tonight after years and years I  
was led once more to look for the desert  
and I haven't found it again  
the forest took over  
again it seduced tied up  
darkened the paths and  
buzzed in the night

the smell of finding  
possible mushrooms and  
an empty pheasantry of silence all  
dragged me by the hand to where  
shadows spread and the forest  
breathily entered my spine  
hiding with branches awareness with murmurs  
soughing sands

## Adumbrations

In Daily News daily politics shift,  
while the syntax of faces and hordes of sentences remains  
largely the same.

Long and slippery slugs lie in the puddles under the figs  
like a heap of turds left by red dogs, Hungarian Vizslas.  
School ripens. In the afternoon, together with the sun, down  
the street  
rolls the rattle of perambulator wheels. The shouts of kids  
and fathers,  
the return of the golden hordes to Xanadu.

Everything grows in accord with the Mongol system, by tens,  
grass and plums, apples and uproar. The mound of summer

waste  
grows as well, between the shed and the hedge, the hollow  
and translucent  
watermelon rinds, the skins of tomatoes.

The host of green old ladies who rummage through our  
compost heap  
in search of plastic bottles. I pelt them with ripened grapes,  
while Grandma already shakes out, threateningly, her thick  
blanket with zebras.

## Pots

Pots, earthen, cracked,  
reusable nonetheless, lying long  
in the rain and open air, flake  
beautifully, just like skin. They function  
as parts of a natural  
echoing machine, reflecting responses  
with their bottoms. Their use  
is for water to pass through them  
and to linger inside, and for demonstrating  
clearly the roles of earth,  
since they were made of it, lifting up  
rot, germination, specimens of plants.  
In a corner of the garden, under the hedge,  
lie empty pots (here  
is their room), waiting for spring  
to be housed anew, until then  
calling softly for moss,  
something more permanent.

## With Hands-Graveyards

*Do not love me.*

*My hands are a summer graveyard of mosquitoes.*

T. Augustinčić

It's easy to love someone when you don't know  
how he spends the last five minutes before going to bed,  
when you firmly believe he lies down angelically,  
an innocent sleep quenching all his urges.  
One has to be always drunk, however, with blends  
of laughter and indignation, of longing and disgust,  
of sex and wounding. In October evenings my hands  
are graveyards of mosquitoes, the very living palms  
with which I, as a crocus does spring, cup your face  
and all your softnesses and firmnesses,  
as a mouth enfolds members.  
Now you tell me, How can you love me,  
when I caress you with graveyards,  
when I lead you through love across two killing fields  
hiding this from you?  
I sense that you're a master of merging,  
that's why I love you with bloodstained palms.

## The Hunt

I hunted hares  
abundantly and inaudibly:  
the crosshair killed, there were no shots,  
furry bags fell promptly down  
on the parched grass in the dusk. They remained  
stiff, eyes open, with not a drop of blood  
on their clenched wounds: in fact ridiculous,  
innocuous in their death which had not  
taken over life, and so was see-through.  
I did not run out of bullets,  
and neither did they of death: they produced it constantly  
in ditches and on mounds.  
Autumn is falling, it'll be that.

## From **Or, A Life in the Woods**

\*

Ten years ago I bought Žumberak. After Croatia, when streets had grown rather empty, even at peak hours, after Slovenia, which had been considered eternal. Slovenia had always been a presence\*, the dampness of her forests radiating from the west; she used to bleed across the fields and streams in the borderlands. But now it was no more real than Great Carantania, from which snow would often come, carried by the wind, borne on cold, glassy fronts. Now she radiated less and less, so that high up in Žumberak one could live long without fear. I bought it for twenty euros and took the roads into my care – I took care they should decompose swiftly and appropriately, disappearing without making any further damage. I found a secluded spot far up near Sichelberg, a point where no meteorites ever strike, alike to an oak tree split by lightning. There I have nine beanrows and a hive for the honey bee, and in the evening I listen to the rustle of barn owls. The preparations were done thoroughly, so now I have something to rely on. Now those books on permaculture, ordered on the Internet while it still existed, finally pay off. Fears about ploughing and urea are shown to have been justified, raised beds and mixed hedges are proven to be crucial. In order to assert myself, I wall my land in with a belt of dogwood and blackthorn, all the way across the field, while from the woods I am separated by a woven fence. Here is where I stand guard. At night, down the slope at whose foot I have nestled there blows a light northern wind, bringing false voices, reducing distances. Hear I stand upright in long afternoons, announcing myself to the shadows moving at the edge of my field of vision. Here I welcomed Hedgehog, that summer evening when fireflies, seen for the first time after half

a century, were defining the plane with their green points. He dragged himself towards me like a living molehill, pretending to be a broken fellow. I did not let myself be fooled, I'd known for long that Hedgehog was a bourgeois, that he owned multiple houses while glorifying that single little one. I did give him the garden, though; for that we struck a bargain. Together we wait to hear the noise of an engine on the drive, together, at night, under the moonlight, we observe the passage of the tower's black shadow across the closed garden.

*\* Slovenia always a presence:  
the humid allure of its forests  
an asset in the west.  
Slovenia you could always count on  
and had to account for.  
The closer to the border,  
the more of it in the soil  
and in the waterways  
a breath of foreign.  
We've made it mystic, have been doing so;  
at all times we've been  
wary and keen,  
Slovenia always a being.*



## Last Mowing

The last mowing another quiet ritual.  
It is not obligatory, but it is good,  
and pleasant too, because it re-enacts August,  
the time when mowing is as contagious as yawning,  
when you start the engine and begin,  
and when you stop for the first time  
you hear the entire motor choir from the near  
distance, from all the four corners of the world.  
All of us conquering grass, playing cows,  
playing neighbours in the suburbs of Chicago.

But the last mowing is beautiful and manly:  
you are alone in it, it's often dusk and there's fog.  
You do something unpleasant and painful to the grass  
for its own good, like a doctor or a father.  
You take care of the machine, you clean it before it sleeps,  
you pour out the petrol, dealing with – as you never do,  
since you are a philologist, a scribe and gay – oil and steel. In the  
end  
you lock the door, breathing out an “everything's ready” –  
now winter may come, now the long nights without growth  
spent far away from the earth,  
that's why you sigh.

\*\*\*

We were standing and using past tense  
talking about your death –  
in fact not about that, since it had already happened:  
that one we'd mastered as fully as we did verbs.

An issue or two wanted solving  
related to sowing and spring, and sunlight;  
a couple of remarks before setting off to work,  
the absence of encouragement your way to show trust.

It was only around noon, after the fog,  
while you were cutting roots with a shovel,  
that I remembered I cried, also, at night, awoken,  
briefly, having turned over the sorrow in the dark like the earth

during autumn digging; it went  
back into the humus, like an earthworm.  
Now we both push our hands into the supple darkness,  
everything's happened while it still hasn't; earth is good.

## Everything in Time

In May the fig tree blooms within its branches,  
under the bark. The first rank of green belly buttons  
comes, therefore, up front.

One can count  
the years in advance, all the way down to the roots.  
The fig's wood is full of future Septembers  
like the butt of an old gun is of ammo: heavy bullets  
fly out and darkly burst, driving feathers and chirping and mirth  
into the chests of birds.

In bellies yet unpunctured  
each fig carries a bug of its choice.

In one of them a spider is hidden,  
in another a tiny, stripy wasp that will not wake  
for a year or two more; in some there's a group of ants  
much like poppy seeds. In their sweet sleep  
they mutter, shift and grow.

All of this slowly rises up  
to the sun and the shade of imminent autumns.

## Redshift (1)

I have lived until now among  
a couple of buildings, on some twenty streets,  
on three or four hectares of woodland and meadow.  
I never thought: vastnesses are over there,  
and a considerable part of them belongs to me.  
long have rectangles encircled the horizon,  
reproducing the specimen of space visible from here.  
now, from this high, dark viewpoint,  
I observe the centre from the margin, I perceive  
the patterns of repetition, the forms of permanence.  
roughly sketched, the trapeze of the city from here to rapska  
street,

from it to the mosque, from there  
to a point in the east (*find the angle*  
*opposite the known a*) and again to the room where,  
momentarily alone, locked up and calm, I look  
out of the wide windows. the trapeze will be repeated  
infinite times, or a couple fewer, in order to create the city.  
it is only from high places, at a small zoom,  
that the generic quality of space becomes apparent.  
there will be spawned endlessly that couple of buildings,  
some twenty streets, three or four hectares of woodland and  
meadow.

endlessly those light-bulb factories which,  
with their lights fused together into a single copper smudge,  
every evening will constitute the west

\*\*\*

I have an unsolved issue with the city,  
that is, I think that during the day we're unable  
to tell each other everything. I make up for it, willy  
or nilly, at night, when the hedges draw closer  
and the hills start rolling beneath my feet.  
There's usually a lot of drives streets vaults arcades  
also a lot of bronze, made green by the wet darkness  
in the seldom mown parks.  
It keeps sending me on errands from façade to façade  
by inconveniently connected tram routes  
and often it spells out the names of buildings and squares  
in completely arcane languages.  
It rolls me down sidewalks, chucks me over to entrances,  
hiding, nonetheless, its inner courtyards –  
the proof that it can dream lucidly, while I  
clamber where I have to through passages and underpasses.  
And then in the morning it makes me laugh  
and deride it, because I know that it multiplies braggingly  
in me all night long, pulling wool over my eyes, blaring  
propaganda,  
trying to appear larger blacker deeper  
to build infinitely, illusively in vain.

\*\*\*

Sometimes it's disguised as Sofia,  
Bucharest, Ruse, as Debreceen,  
a long time ago it was fond of being Paris.  
Always, however, it leaves enough loopholes  
that betray it as a mask.  
Behind the rotten iron fences  
spanning for kilometres,  
oases of darkness and of weeds, gravel pools  
padded with tyres, murky  
with the sediment of night; they and the walls  
on the margins of the bays  
of the ends of streets  
are rough-hewn, they can be neither entered  
nor exited, they do not break  
nor do they break the sounds that are eerily  
present in the dream. And here  
is where I discover its weakness: the city has not  
built itself further – the rest is not here –  
there's a lack of code.  
Its game is curbed by the awareness  
that nights fly by in spite it being autumn  
and by the thought that it's prepared  
enough streets. I knock on the screen  
and slyly wake.

\*\*\*

Sometimes I remember the fact that meetings are numbered, and that makes me sad. I am made sad by the fragments of space, therefore of the city, that, while I will have all the reason to believe that I'm changing, will have to remain always the same, same in all the three or four points of visit: at six, at ten, at three, at eight. And then that's it, we'll have no more chance to touch each other, although they might have the chance, somewhere and up to a certain point in time (which is a product of space), to be same. (They do not be, they same.) A deeply yellow afternoon sky where there is nothing but a husk of the city – afternoon and windows, afternoon and windows, blurred sheep-like clouds reflected in them. I do not know what they'll do without me; the important thing is not knowing, not I. Will they be affected by the changing of the times (the change being a matter of heated debate), will that Parisian whom I left, at the beginning of this century, on an early autumn afternoon in a quiet cul-de-sac on the edge of the city's centre to dig trenches for drainage pipes dig and dig out, will he need some lunch, will he ever talk to anyone again? Above all – will I find that at six, at ten, at three, at eight he will have something to say to me, will he break, break like the day? I always ask more of scripted NPCs, but they have escaped time perfectly, not escaping sadness, though, a deep sadness. They do not know about action-reaction: that lack opens up for them the copious reservoirs of melancholy. They are the proof of my childhood, of its faces and its Julys. Their suffering, because they are not conscious of suffering, is far greater than that of men, says Nietzsche, and then I down my drink, pick the only non-impasse option on the conversation wheel, leaving still, coming back hours later, or weeks, Their suffering, because they are not conscious of suffering, is far greater than that of men,

just like in my childhood, at six and at ten, I smack my lips, down the drink and let's say leave.

\*\*\*

Sometimes I dream of cubes, long and white, diaphanous,  
approachable from all sides,  
worthy of colourless sketches for the creation of a city.  
Never, however, do I enter,  
preferring to roam the rocky paths, sunny-  
cold, which usually  
open to the right onto distant plains full of  
wind.

Long I circumambulate the spacious plinths of those buildings  
which are a part of relief –  
of hills, slopes, roads cut through the macchia  
connected by a bridge of stone.  
It is a gentle country, where sun settles slowly in the air  
free of any sound,  
and touches of human craftsmanship only add  
peace.

The archaic parapet along the road by the buildings  
surrendered itself to grapes long ago:  
plump berries lie in the cracked light  
and shadow of the stern granite,  
bending the rays of the long sun into strings  
that enrich them with juice,  
so that they perfectly quench my thirst on the walk towards  
dawn.

### **GORAN ČOLAKHODŽIĆ**

Born in Zagreb on the 23<sup>rd</sup> January, 1990. Since 1996 he has been living in Samobor, a smaller town west of Zagreb. In 2008 he started studying at the Faculty of Humanities and Social Sciences of the University of Zagreb, having double majors in English Language and Literature, and in Romanian Language and Literature. He completed his BA studies in 2012, and is currently writing his two MA theses. He writes poetry and prose, his manuscript entitled *Na kraju taj vrt* (In the End, the Garden) won the Goran's Spring festival's award Goran for Young Poets (2015). He has had some of his poems published in a number of Croatian cultural and literary journals and magazines such as *Zarez*, *Poezija* and *Vijenac*, and on the online portal *Strane*. A few of his poems have been published in the Romanian literary magazine *Poesis internațional*. In September 2015 he received the award for the best sonnet written, from the side of the Petrarca Fest 2015.

# Goran Čolakhodžić

Za vrtom

\*\*\*

noćas sam nakon godina i godina  
opet odveden tražiti pustinju i  
nisam je našao iznova  
je šuma odnijela prevagu  
opet je zavela zavezala  
zamračila staze i  
zujala noć.

miris nalaska  
mogućih gljiva i  
prazna fazanerijska tišina sve  
vuklo za ruke prema  
pružanju sjene i šuma se  
dahom stiskala u kičmu i  
granama svjesnost mumljanjem šušta i  
skrivala pijesak

## Nagovještaji

Na Dnevniku se mijenjaju dnevne politike,  
a sintaksa lica i hordi rečenica ostaje pretežno ista.  
Dugi i skliski puževi golaći leže po lokvama pod smokvama  
nalik na govna crvenih pasa, mađarskih vižli.  
Dozrijeva škola. Popodne, zajedno sa suncem, niz ulicu  
kotrlja se štropot kotača dječjih kolica. Urlici djece i očeva,  
povratak zlačanih hordi u Xanadu.  
Sve raste po mongolskom ratnom sistemu, na deset,  
trava i šljive, galama i jabuke. Raste i hrpa otpada ljeta  
između šupe i živice, prazne i prozirne ljuske lubenica  
sa sve manje prugica, kože rajčica.  
Raste i mnoštvo zelenih starica koje nam ruju kompostište  
tražeći plastične boce. Gađam ih sazrelim bobama,  
a baka već prijeteći istresa debelu deku sa zebrama.

## Posude

Posude, zemljane, napukle,  
ipak upotrebljive, dugo stojeće  
na zraku i kiši, ljušte se  
lijepo, kao i koža. Djeluju  
kao dijelovi prirodnog stroja  
za odjekivanje, svojim dnima  
odbijajući odzive. Služe  
tome da voda kroz njih prolazi  
i zaostaje, i da naočigled  
pokazuju funkcije zemlje,  
budući od nje, dižući gore  
truljenje, klijanje, primjere bilja.  
U kutu vrta, pod živicom,  
leže prazne posude (tu je  
njihova soba), čekaju proljeće  
novih udomljenja, dotle  
potiho zazivajući mahovinu,  
nešto stalnije.



## Rukama grobljima

*Ti nemoj mene voljeti.*

*Moje su ruke ljetno groblje komaraca.*

T. Augustinčić

Lako je nekoga voljeti kad ne znaš  
kako provodi zadnjih pet minuta prije spavanja,  
kad si uvjeren da liježe andeoski  
i da mu nevini san odmah gasi sve nagone.  
Trebalo se, međutim, opijati smjesama  
smijeha i snebivanja, čežnje i gađenja,  
seksa i ranjavanja. Moje su ruke u listopadske večeri  
groblja komaraca, oni isti živi dlanovi  
kojima ti, kao šafran proljeće, obuhvaćam lice  
i sve tvoje mekosti i napetosti,  
kao što usta obujme udove.  
I hajde sad reci kako me voljeti  
kada te milujem grobljima,  
kada te dvama poljima stratišta vodim kroz ljubav  
i krijem to od tebe?  
Slutim da si majstor stapanja,  
zato te i volim krvavih dlanova.

## Lov

Lovio sam zečeve  
obilno i nečujno:  
nišan je ubijao, nije bilo pucnja,  
krznene su vreće padale bez odgode  
na suhu travu sumraka. Ostajali su  
kruti, otvorenih očiju, bez kapi krvi  
na stegnutim ranama, zapravo smiješni,  
neopasni u toj smrti koja nije  
preotela život, pa je bila prozirna.  
Meni nije nestajalo metaka,  
a ni njima smrti: stalno su je producirali  
po humcima i jarcima.  
Spušta se jesen, bit će da je to.

## Iz Ili, *Život u šumi*

\*

Prije deset godina kupio sam Žumberak. Nakon Hrvatske, kad su ulice znatno opustjele, čak i u vrijeme špice, nakon Slovenije, smatrane vječnom. Slovenija je uvijek bila prisutnost, zračila šumskom vlagom sa zapada, širila se pograničnim poljima i potocima. Ali sada nije bila ništa stvarnija od Velike Karantanije, iz koje je često, po vjetru, na staklastim frontama dolazio prvi snijeg. Sada je zračila sve slabije, pa se visoko u Žumberku moglo poživjeti dugo, bez straha. Kupio sam ga za dvadeset eura i uzeo ceste pod svoje, pazio da se brzo i primjereno raspadnu, da odu ne praveći dodatnu štetu. Skrovito sam mjesto našao daleko gore kraj Sichelberga, točke u koju nikad ne udaraju meteoriti, kao ni u munjom raspolovljen hrast. Ondje imam devet redova graha i košnicu mednih pčela, a navečer slušam šuštaj kukuvija. Priprema je riješena dobro i detaljno, sada se imam na što pozvati. Sad su se najzad isplatile knjige o permakulturi, naručene preko neta, dok ga je još bilo. Opravdanim su se pokazali strahovi od oranja i ureje, ključnima su ispale uzdignute gredice, kombinirane živice. Da pokažem tko sam i što sam, svoju sam zemlju ogradio pojasom sviba i trnine, sve preko polja, dok me od šume odvaja pleteni plot. Tu je moje mjesto straže. Noću s padine u kojoj sam se ugnijezdio popuhuje vjetar sjeverac, donosi lažne glasove, smanjuje udaljenosti. Ovdje uspravan stojim u duga popodneva, dajući se na znanje sjenama koje se kreću na rubu pojasa vidnosti. Ovdje sam dočekaao Ježa, one ljetne večeri kada su krijesnice, prvi put viđene nakon pola stoljeća, zelenim točkama definirale ravninu. Vukao se prema meni kao živi krtičnjak, glumeći jasnika. Nisam se dao zavarati, odavno znam da je Jež buržuj, da je vlasnik više kuća dok od jedne bijedne pravi boga. Ipak sam mu dao vrt, za nj smo se pogodili. Zajedno sada

iščekujemo buku motora na prilaznom putu, zajedno noću, pod mjesecinom, pratimo prelazak crne sjene tornja preko zatvorenog vrta.

## Zadnja košnja

Zadnja košnja još jedan tih ritual.  
Ne mora se nužno, ali je dobro,  
a i lijepo, jer vraća u kolovoz,  
vrijeme kad je košnja zarazna kao i zijevanje,  
kad upališ motor i kreneš,  
a kad prvi put staneš,  
čuješ čitavi motorni zbor iz bliske  
daljine, od svake strane svijeta.  
Svi svladavamo travu, igramo se krava,  
igramo se susjeda u predgrađu Chicaga.

Zadnja je košnja ljepša i muškija:  
sam si u tome, često je magla i sumrak.  
Obavljaš nešto travi ružno i bolno  
u njezinu korist, kao liječnik ili otac.  
Vodiš računa o stroju, kupiš ga pred san,  
izlijevaš benzin, baviš se, kao što se ne baviš nikad,  
jer si filolog, pisar i gej, uljem i čelikom. Na kraju  
zaključavaš vrata, izdišući jedno „sve je spremno“ –  
sad može zima, sad mogu duge noći bez rasta  
provedene daleko od zemlje,  
odatle uzdah.

\*\*\*

Stajali smo i koristili perfekt  
razgovarajući o tvojoj smrti –  
zapravo ne o njoj, jer se već bila dogodila,  
njome smo baratali tečno kao glagolima.

Trebalo je riješiti pitanje-dva  
u vezi sjetve i proljeća, sunca;  
nekoliko napomena prije odlaska na rad,  
izostanak hrabrenja tvoj je izraz uzdanja.

Tek oko podneva, poslije magle,  
dok si lopatom rezao korijenje,  
sjetio sam se da sam noću i plakao, probuđen,  
kratko, prevrnuvši tugu u mraku, kao i zemlju

pri jesenskom kopanju; ušla je  
natrag, u humus, kao gujavica.  
Sada obojica guramo šake u podatnu tamu,  
sve se dogodilo dok još i nije, dobra je zemlja.

## Sve polako

U svibnju smokva cvate u granama,  
ispod kore. Prvi od nizova zelenih pupaka  
dolazi, dakle, na red.

Mogu se brojati  
godine unaprijed, sve dolje do korijena.  
Smokvino drvo je prepuno budućih rujnova  
kao kundak stare puške metaka: teška zrna  
izlijeću i praskaju tamna, zabijajući pticama  
perje i cvrkut i sreću u prsa.

U još neprobušenim trbusima,  
svaka smokva nosi kukca po izboru.

U jednoj je zapretan pauk,  
u drugoj je mala i prugasta osa koja se godinu-dvije  
još neće probuditi; ponegdje grupica mrava  
nalik na sjemenke maka. U slatkom snu  
mrmljaju, meškolje se i rastu.

Sve se to lagano podiže gore,  
k suncu i sjeni neumitnih jeseni.

## Pomak prema crvenom (1)

živio sam dosad između  
nekoliko zgrada, na dvadesetak ulica,  
u tri ili četiri hektara šume i livada.  
nisam mislio – u onom je smjeru prostranstvo,  
a meni ga pripada zamjetan dio.  
dugo su pravokutnici zaokruživali obzor,  
reproducirajući odavde vidljivi uzorak prostora.  
sada, s ovoga visokog, tamnoga gledišta,  
promatram s rubnika središte, uviđam  
šprance ponavljanja, oblike stalnosti.  
loše iscrtan, trapez grada odavde do rapske,  
od nje do džamije, odande  
do neke točke na istoku (*traži se kut  
nasuprot poznatog a*) pa opet do sobe u kojoj,  
zakratko sâm, zaključan i miran, motrim  
kroz široke prozore. on će se bezbroj,  
ili nešto manje puta, ponoviti, kako bi stvorio grad.  
tek će s visokih mjesta, pri malome zoomu,  
postati jasna generičnost prostora.  
unedogled će se nastvarati nekoliko zgrada,  
dvadesetak ulica, tri ili četiri hektara šume i livada.  
unedogled onih tvornica žarulja, koje će,  
u jednu jedinstvenu bakrenu mrlju stopljenih svjetala,  
svake večeri činiti zapad

\*\*\*

Imam nešto neriješeno s gradom,  
odnosno, mislim da danju nismo u stanju  
reći si sve. Nadoknadim, hoću  
ili neću, noću, kad mi se primaknu živice  
i brda se počnu kotrljati pod nogama.  
Bude tu podosta prilaza ulica volti arkada  
bude i podosta bronce, zelene od vlažnog mraka  
u rijetko košenim parkovima.  
Stalno me šalje od pročelja do pročelja  
nezgodno vezanim linijama tramvaja  
i često sasvim neznanim jezicima  
ispisuje nazive zgrada i trgova.  
Valja me po pločnicima, dobacuje haustorima,  
krijući ipak unutarnja dvorišta –  
dokaz da on može sanjati lucidno, ako već ja  
bauljam kud moram kroz hodnike i pothodnike.  
I onda me ujutro tjera u smijeh  
i u podsmijeh, jer znam da se hvalisavo množi  
u meni cijele noći, zamazuje mi oči, trubi propagandu,  
trudeći se napraviti većim crnjim dubljim  
graditi se beskonačan, uzalud u privid.

\*\*\*

Ponekad se prerušava u Sofiju,  
Bukurešt, Ruse, u Debrecen,  
nekada davno je volio Pariz.  
Uvijek, međutim, ostavlja dovoljno rupa  
koje ga odaju kao masku.  
Za trulim limenim ogradama  
dugim na kilometre,  
oaze mraka i korova, šljunčane bare  
obložene gumama, prljave  
od taloga noći; one i zidovi  
s rubova zaljeva  
krajeva ulica  
grubi su, ne mogu biti uđeni  
ni izađeni, ne lome se  
i ne lome zvukove sablasno  
prisutne u snu. I tu  
otkrivam slabost: grad se nije  
gradio dalje. Ostatak nije tu.  
Nedostaje koda.  
Njegova je igra ograničena sviješću  
da noći brzo lete unatoč jeseni  
i mišlju da je spremio  
dovoljno ulica. Kuckam o zaslon  
i budim se prepređeno.

\*\*\*

Povremeno se sjetim izbrojenosti susreta i to me rastuži. Rastuže me fragmenti prostora, tako i grada, koji će, dok ja budem imao ozbiljna razloga vjerovati da se mijenjam, morati uvijek ostati isti, isti u sve tri ili četiri točke posjeta: u šest, u deset, u tri, u osam. I onda gotovo, nećemo se više imati prilike dodirnuti, iako će možda oni imati prilike negdje i do neke točke u vremenu (koje je rezultat prostora) biti isti. (Oni ne bivstvuju, oni istuju.) Duboko žuto popodnevno nebo ondje gdje više nema ničeg osim ljuske grada – popodne i prozori, popodne i prozori, mutne ovčice oblaka u njima odražene. Ne znam što će bez mene; važno je što ne znam, ne ja. Hoće li na njih utjecati promjena doba (koja je predmet žučne rasprave), hoće li onaj Parižanin kojeg sam početkom stoljeća ostavio u rano jesensko popodne u tihoj slijepoj uličici na rubu središta grada da kopa jarke za odvode kopati i iskopati, hoće li trebati ručak, hoće li i s kim više razgovarati? Najviše – hoću li ga naći u šest, u deset, u tri, u osam, a da mi ima što reći, hoće li se slomiti, puknuti kao zora? Uvijek tražim više od *scripted NPC*-ja, ali oni su vrhunski umakli vremenu, svejedno ne umakavši tuzi, dubokoj tuzi. Ne znaju što je akcija-reakcija: taj manjak im obilno otvara spremnike sjete. Oni su dokaz mog djetinjstva, njegovih lica i srpnjeva. Njihova je patnja zbog nesvijesti o patnji daleko gora od ljudske, kaže Nietzsche, a ja onda iskapim piće, odaberem jedinu nebezizlaznu opciju na kotaču razgovora, jednako odlazeći, satima, tjednima kasnije dolazeći, Njihova je patnja zbog nesvijesti o patnji daleko gora od ljudske, baš kao u djetinjstvu, u šest i u deset, puknem jezikom, iskapim i recimo odem.

\*\*\*

Ponekad sanjam kubuse, duge i bijele, zračne, sa svih strane obilazne, dostojne bezbojnih skica za stvaranje grada. Nikad, međutim, ne ulazim; radije lutam po kamenim stazama sunčano-hladnim, koje se obično zdesna otvaraju dalekim ravnima punima vjetra.

Dugo obilazim prostrane plinte tih zdanja, koje su dio reljefa, bregovi, padine, usjeci cesta kroz makiju spajanu kamenim mostom. Blag je to kraj gdje se taloži sunce u zraku čistom od ikakva zvuka, a dodiri ljudskoga majstorstva dodaju mira.

Arhajski podzid uz planinsku cestu kraj zgrada davno se predao grožđu: debele bobice leže u napuklom svjetlu i sjeni strogog granita, svijaju zrake dugoga sunca u strune koje ih bogate sokom, tako da vrsno utažuju žeđ na tom hodu do jutra.

## OD WYDAWCY

Niniejszy wybór wierszy zawiera utwory z tomiku *Na kraju taj vrt* (W końcu, ogród; 2016) oraz utwory niepublikowane (\*\*\*) [*nočas sam nakon godina i godina*]; *Nagovještaji*; *Sve polako*):

\*\*\* [dzisiejszej nocy po wielu wielu latach] 5 \*\*\* [tonight after years and years I] 23 \*\*\* [*nočas sam nakon godina i godina*] 43

Zapowiedzi 6 *Adumbrations* 24 *Nagovještaji* 44

Naczynia 7 *Pots* 25 *Posude* 45

Ręce cmentarzyska 8 *With Hands-Graveyards* 26 *Rukama grobljima* 46

Pólowanie 9 *The Hunt* 27 *Lov* 47

Z Albo, *Życie w lesie* 10 *From Or, A Life in the Woods* 28 *Iz Ili, Život u šumi* 48

Ostatnia kośba 12 *Last Mowing* 30 *Zadnja košnja* 50

\*\*\* [Staliśmy i używaliśmy perfektu] 13 \*\*\* [We were standing and using past tense] 31 \*\*\* [Stajali smo i koristili perfekt] 51

Wszystko powoli 14 *Everything in Time* 32 *Sve polako* 52

Przesunięcie ku czerwieni (1) 15 *Redshift* (1) 33 *Pomak prema crvenom* (1) 53

\*\*\* [Mam niezalutwioną sprawę z miastem] 16 \*\*\* [I have an unsolved issue with the city] 34 \*\*\* [Imam nešto neriješeno s gradom] 54

\*\*\* [Niekiedy zmienia się w Sofię] 17 \*\*\* [Sometimes it's disguised as Sofia] 35 \*\*\* [Ponekad se prurušava u Sofiju] 55

\*\*\* [Niekiedy uświadamiam sobie...] 18 \*\*\* [Sometimes I remember the fact...] 36 \*\*\* [Povremeno se sjetim izbrojenosti...] 56

\*\*\* [Niekiedy wyobrażam sobie sześciany, długie, białe, widoczne] 19  
\*\*\* [Sometimes I dream of cubes, long and white, diaphanous] 38  
\*\*\* [Ponekad sanjam kubuse, duge i bijele, zračne] 57

W utworze *Ili, Život u šumi*, zgodnie z życzeniem autora, przypis zamieszczono wyłącznie w wersji anglojęzycznej. W polskich tłumaczeniach wierszy zachowano oryginalną interpunkcję.

SERIA: Versopolis

KOORDYNACJA: Piotr Mielcarek

REDAKCJA I KOREKTA: Tadeusz Dąbrowski

TEŁMACZENIE TEKSTU O AUTORZE: Agata Teperek

PROJEKT OKŁADKI, PROJEKT TYPOGRAFICZNY I SKŁAD: Tomasz  
Pawluczuk Nylon Studio

DRUK I OPRAWA: Wrocławska Drukarnia Naukowa PAN im. Stanisława  
Kulczyńskiego Sp. z o.o.

© Goran Čolakhodžić

© for the Polish translation by Dorota Jovanka Ćirlić

Instytut Kultury Miejskiej

Długi Targ 39/40

80-830 Gdańsk

[www.ikm.gda.pl](http://www.ikm.gda.pl)

[www.europejskipoetawolnosci.pl](http://www.europejskipoetawolnosci.pl)

[www.versopolis.com](http://www.versopolis.com)



Instytut  
kultury  
miejskiej



VERSOPOLIS  
where  
poetry  
lives



With the support of the  
Creative Europe Programme  
of the European Union

Projekt realizowany przy wsparciu Unii Europejskiej w ramach Programu Kreatywna Europa. Niniejsza publikacja wyraża wyłącznie poglądy i opinie jej autora, Komisja nie może zostać pociągnięta do odpowiedzialności za jakiegokolwiek użycie informacji w niej zawartych.

ISBN: 978-83-64610-55-4

**Versopolis** to założona w grudniu 2014 roku platforma literacka poświęcona poezji. Jej celem jest wspieranie młodych europejskich twórców i promocja ich dorobku poza granicami ojczystych krajów. W skład platformy wchodzi 13 festiwali literackich, w tym Międzynarodowy Festiwal Literatury Europejski Poeta Wolności, organizowany przez Instytut Kultury Miejskiej w Gdańsku.



INSTYTUT KULTURY MIEJSKIEJ  
GDAŃSK 2016

Paula Bozalongo  
Goran Čolakhodžić  
Veronika Dintinjana  
Jonathan Edwards  
Gjoko Zdraveski



ISBN: 978-83-64610-55-4